

## SYNOWIE Z GWIAZDĄ U SKRONI

Pod wierzbą, na rozstaju, siedziały trzy siostry. Wieczne zorze stały nad światem, słońce zachodziło. Patrząc na blask, zaszepiała siostra najstarsza, mrużąc jasne jak u orlicy oczy. Czary na zorzach płyną przedwieczorną godzinę. Hej, czary, czarowanie, złote blaski na łanie, zaczarowany rozstaj, w czary spogląda siostra.

Słuchały śpiewnych słów siostry młodsze i zapytały: — Jakie czary, siostró, znasz?  
A najstarsza odpowiedziała:

*Znam czar gospodarski, wielki czar domowy. Zaczaruję zaczyn czarodziejskim słowem,  
upiekę chleb złoty — bochenek zaklęty, nim jednym obdzielę wszystkie regimenty.*

*Pożywią się godnie towarzysze wierni, polotna konnica, srebrzyści pancerni.*

Spojrzała na mówiącą siostra średnia, uniosła hardą bródkę, kalinowe usta zagryzła i rzekła:

*Znam ja przadek czary, czary świetlicowe. Umieję zaczarować lniane nitki płowe.*

*Gdy z nich utkam płótno — koszule poszyję, starczy ich na wszystkie wojska kompanije.*

*Wszystkim regimentom dam koszule lniane, wszystkie regimenty będą przyodziane.*

Słońce nikło już za półokręgiem dookolnych lasów i ostatnie promienie padły na jasne włosy siostry najmłodszej. Spojrzały starsze na jej głowę w otoku złotej światłości. A ona zaszepiała:

*Ja znam jedno czarowanie: to matczyne miłowanie.*

*Synów będę mieć dwunastu, będą głowy nosić w blasku,*

*a u skroni moich dzieci jasne gwiazdy będą świecić.*

— Świetlistą przyszłość sobie wyczarować chcesz! — rzekły starsze siostry mierząc najmłodszą dumnym spojrzeniem. — Mocne czary znasz!

Lecz najmłodsza, w gasnące słońce zapatrzona, powtórzyła cicho i skromnie:

*Znam ja jedno czarowanie: to matczyne miłowanie.*

Wiatr powiał od mroczniejącego zachodu. Poniósł z sobą głos dziewczęcy, zacichł. Siostry do wsi odeszły.

Noc już była. Koło rozstaju zatętniły końskie kopyta. Księżyc wychylił się zza chmur i blask jego oblał pędzącą po wiejskiej drodze karetę. Konie rwały ostro. — Naprzód! Naprzód!

Furman dźwignął się na kozła, śmignął biczem nad głową — haj-hajta! Zdało się, że bicz po gwiazdach trzasnął; i nagle — przechyliła się karetka, skrzypnęło coś, stuknęło, pękła oś w złotym kole.

Furman zaklął, ściągnął konie, z kozła się gramoli.

Młody król wyrzwał z okna karety.

— A co tam, Wojtek? — pyta.

— Oś, proszę najjaśniejszego, trzasła.

Zaklął król do wtóru. Co tu robić? Wysiada z karety, razem z furmanem koło ogląda. Widzą obaj, że dalej jechać nieposób.

Król nie chciał po mroku piechotą iść, bo strojnie odziany do ciotki na ucztę się wybrał i żał mu było przyodziejku: butów czerwonych i sobolowego płaszczka. Rozgląda się więc frasobliwie wokół. Za rozstajem w mroku wieś światłami połyska, dobiega stamtąd rwane poszczekiwanie psów.

— Idź, Wojtek, do tej wsi — powiada król — weź od jakiego chłopca wóz i przyjedź nim po mnie. Trzeba nam w tej wsi noclegu szukać. Rankiem koło naprawimy i ruszymy dalej. Teraz tu na ciebie zaczekam.

— Ano dobrze, najjaśniejszy — powiada Wojtek i zostawisz króla na rozstaju pod wierzbą, ruszył ku błyskającym w mroku światłom wsi.

Król oparł się o wierzbę. Szumiała lekuchno. Król tknął płowych listków u zwisających gałęzi. Młody był jeszcze i pamiętał, jak to małym chłopcem będąc wymykał się z pałacu i na wieś ku wiejskim chłopakom wykradał, po drzewach z nimi łąził, w gąszczu zagajów się zaszywał, ba — na oklep konno jeździł do wodopoju. I tykając gałązek wierzbowych czując zapach kory, wspominał król to wszystko, jakby to wczoraj było.

— Wierzbo, wierzbinu... — szepnął król i objął przydrożne drzewo.

— Hej, królu... królu... — zaszumiały wierzbowe listeczki. Brzmiało to jak tkliwy głos.

Król drgnął. Lecz w blasku płynącego niebem księżycy, w szumie ziół po przyrówkach, w pachnących powiewach pól, nie wydało mu się dziwne, że drzewo gada.

— Mów, mów... — powtórzył cicho król.

Gałąź wierzbinu zgięła się jak te, na które ongi się wdrapywał, tknęły królewskich powiek. Król przetarł zwilgotniałe oczy.

— Mów!

Wtedy wierzba jęła mówić do króla o polach, o lasach, gąszczach olszyn, dębów, grabów. O wiejskim prostym życiu, zbiorach, młockach, o izbach woniejących chlebem, o świetlicowych śpiewach, o prządkach. A potem wyszeptala królowi wieść o trzech siostrach, co dziś wieczór u rozstaju były, i o ich dziwnej rozmowie.

Zasłuchał się król w opowieść drzewa, a księżyc wędrował po niebie, niebo zbladło, napłynęło barwą młodziuchnych liści. Już różany pas światłości ukazał się na wschodzie, w gałęziach drzew zaczęły się trzepotać ptaki, gdy król się ocknął. Przetarł oczy, sprostował się, od pnia wierzby odstąpił.

A drzewo znaczyło się na blasku wstającego dnia, schylone, o opuszczonych gałęziach, jakby znużone opowieścią.

Odległa wieś budziła się ze snu. Skrzypiały furty i wrota, odzywały się frasobliwie krowy, nawoływali się ludzie rwanymi głosy, tak jak to się czyni w pośpiechu. Za czym odezwał się od wiejskiej drogi skrzyp chłopskiego wozu. Wojtek furman po króla jechał.

Król wyszedł mu naprzeciw i pogwarzywszy z powożącym chłopakiem, znużony niesenną nocą, do wsi wieść się kazał.

Wóz zawrócił. Droga była kopna; leniwo, mieląc piach, obracały się w niej koła. Było już jasno. Z bruzd podrywały się skowronki, w jasnym świetle falowały łąny. Król jechał w zamyśleniu. Opowieść wierzbinu zdała mu się szumieć w myślach jak dźwięczna, czuła piosenka. I w rozmarzeniu widziała mu się zbliżająca wieś o chatach modro bielonych niby ostoja przystań, do której dążył z dawna.

Wóz wtoczył się między opłotki, doskakiwały doń ujadające kundły, wybiegały mu naprzeciw rozpędzone dzieciaki i stawały jak wryte na widok króla w sobolowym płaszczu, w złotej koronie.

Król rozgląda się bacznie naokoło i z nagłą spytał powożącego chłopaka:

— Gdzie tu mieszka gospodarz, co trzy córki ma?

— Trzy? — rzekł chłopak obróciwszy się ku królowi i błysnąwszy- bystro modrymi oczami.

— Trzy? Dwie starsze, harde jak orlice, a trzecią jasnowłosą?

— Tak — potwierdził król.

A to w tej chałupie właśnie!

— Stań! — krzyknął król. — Stań! — i zerwawszy się z woza, przed chałupę wyskoczył.

Skrzypnęły drzwi. W progu chaty stanęła rosla dziewczyna o jasnych jak u orlicy oczach.

Ujrzała króla, lecz nie ugięła się w pokłonie, jak to czyniły dworki. Uniosła głowę i spojrzała dumnie.

Podszedł do niej król i pyta:

— Tyś to, która jednym chleba bochenkiem całe wojsko wykarmić umiesz?

— Ja — odrzekła dziewczyna i jeszcze wyżej głowę uniosła.

W tejże chwili zaskrzypiała furka obejścia. Obejrzał się król i zobaczył siostrę drugą. Stała przy płocie, wspierając się na nim jak na oparciu królewskiego tronu, i hardo przed siebie patrzyła.

— Tyżes to — pyta król — która jednym płótna błamem całe wojsko odziewasz?

Skinęła głową dumna dziewczyna, lecz nagle cofnęła się w tył: ze strzechy sfrunęło stadko gołębi, gruchając, skrzydłami trzepocąc. Bielilo się niby ruchawa chmurka. Gdy opadła, ukazała się spoza niej siostra trzecia; o jasnych oczach, o łagodnym wejrzeniu. Wejrzenie to spoczęło na królu, jakby go pozdrawiając, a wraz z nim i cały świat: widny z daleka bór, modre niebo, słońce i fruujące ptaki. Ona zaś sama zdała się królowi bliska jak jego młodzieńcze wiejskie wyprawy,

gaje, brzozowe łąki, sprawy, o których mu w murach zamczyska szeptały wspomnienia.

Przystąpił do niej blisko, jak do owej wierzby na rozstaju, i ujawszy jej rękę rzekł:

— Bądź moją żoną, dziewczyno!

Ona zaś odpowiedziała po prostu:

— Będę.

Wkrótce najmłodsza siostra żoną królewską została.

Zamieszkała w zamczysku warownym. Izby tam były wielkie, sienie ogromne, wnęki mroczne jak pieczary. Strach było młodej królowej samej w zamku przebywać, król bowiem często na objazd swych włości, da krewniaków w odwiedziny wyruszał. Zaprosiła więc swe siostry na zamek. Chodziły po nim wodząc wzrokiem po kobiercach, policach, rzeźbionych sprzętach. Unosiły głowy, ściągały brwi w zamyśleniu.

Nieraz stawała siostra najstarsza w wieżycy, skąd rozciągał się widok na zieloną łąkę. Na tej łące rycerze konni przeganiali bojowe rumaki. ujeżdżali je, oklep i na siodłach. Często też, uzbroiwszy piersi zwierzęce w pancerze, a czoła w przyłbice, dosiadali koni, zbrojni, lśniący w słońcem jak srebrne żuki, i oddawali się igrom rycerskim. W pędzie łowili na dziryt pierścień zawieszony na maszcie lub potykali się z sobą wzajem.

Wtedy szczęk i brzęk niósł się od ćwiczebnej łąki, grały tarcze, brzęczała broń oślizgująca się po pancerzach, dźwięczały miecze. Patrząc zaś na te potykania rycerze bili w bojowe blachy pokrzykując:

*Heja! He ja! A z lewa! Niech gra zbroja! Miecz śpiewa!*

*Heja! Heja! A z prawa! To rycerska zabawa!*

Wtedy mrużyła oczy siostra najstarsza marząc o władaniu takim rycerstwem, które jednym bochenkiem chleba wykarmić była w mocy.

A siostra średnia wychodziła na trakt szeroki za wrota zamkowe i patrzyła ku obozowisku, leżącemu pod lasem, nasłuchując, czy wiatr nie niesie stamtąd dudnienia bębnow bojowych.

Posłyszawszy zaś miarowe jak dech, zda się, bijące z ziemi dźwięki, wychodziła ku obozowisku i u zakrętu traktu stawała. Dźwięk bębnow bojowych zbliżał się, rósł, na trakcie ukazywały się poszostne rotaty pieszych. Szły.

— Uch... uch... uch... — tchnęły miarowo bębny.

— Uch... uch... uch... — dudniły kroki piechurów idących twardo, wybijających mocnymi stopami piechotny marsz. Ciężcy byli, rozrośli, przed sobą nieśli tarcze, w których odbijało się słońce.

Wtedy siostra średnia zagryzała dumne usta w gniewnej złości, marząc o władaniu tymi rotami, które odziać jednym błamem płótna była w mocy.

A najmłodsza siostra, królewska żona, krzątała się po obejściu, oddana niełatwej gospodarskiej pracy, pogodna, uśmiechnięta, łagodna i cicha.

Minął rok. Szło przedwiośnie. Wezbrały wody rzek. Wiatr darł niskie chmury, spoza których wybliskiwało modre niebo odbijając się w rzece. Wody przerywały kry i szumiąc płynęły wartko. Król wyjechał na rodzinne działki, trzy siostry zostały same w zamku.

W marcową noc, gdy wiatr bił w zamek i łopotał chorągwią królewską, gdy pierwsze zorze świtu rumieniły niebo, powiła młoda królowa dwunastu synów. Każdy z nich miał gwiazdę u skroni, a jasne ich włosy jarzyły się blaskiem.

Królowa zapadła w sen. Obok niej leżało dwunastu syneczków. I oni spali, a gwiazdy u skroni drgały lekko wraz z ich miarowym oddechem. Stały nad nimi siostry królowej i oczy błysnęły im złym, zazdrosnym blaskiem. Schyliły się nad łóżem, wzięły spowite w pościółkę niemowlęta. Cicho wyszły z komnaty.

Szły przez mroczne i puste jeszcze izby pałacowe, przez ogród dworski i dalej, nad rwącą wiosenną rzekę.

Płynęła szumna, fale jej omywały siwy, szeleszczący szuwar. I płynąc śpiewały:

*Co z tą wodą popłynie, hen, hen, daleko zginie.*

*Co z falą się potoczy, tego już nikt nie zoczy.*

*Wszystko, co jej zawierzysz, dzika woda zabierze.*

Staneła przy rzece jedna siostra, niemowlęta trzymając, a druga w szuwar gęsty weszła i tkwiącą w nim łódź wypchnęła. Po czym, wzięwszy dzieci, w łodzi je złożyła. Łódź drgnęła, zawahała się lekko i pon prądem pomknęła w dal, kolebiąc się na wzburzonych falach.

Pobladła starsza siostra, a młodsza drżącymi ustami mimowiednie szeptała:

*Co z tą wodą popłynie, hen, hen, daleko zginie. Co z falą się potoczy, tego już nikt nie zoczy...*

Stały dwie siostry w milczeniu, patrząc na wody, na których już i śladów łodzi nie było. Wreszcie, snadź coś sobie rozważywszy, dzwignęły głowy w górę i wróciły na zamek. Lecz gdy pod drzwi siostrzanej komnaty podeszły, posłyszały stamtąd ciche kwilenie niemowlęcia. Tak — jeden chłopczyk ocalał. Nie dojrzały go, zapatulonego w pościółkę, złe ciotki.

Nagle uderzył w powały zamku krzyk matki, wołającej swoje dziecko zaginione. Niósł się przez sienie zamkowe, aż na zamkowy podwórzec.

Wraz rozwarły się zamkowe wrota: zatętniły podkowy, zabrzmiały okrzyki, rozniosło się rzenie koni, czujących własną stajnię blisko. Król powracał. Zeskoczył z konia przed progiem, zachwiał się lekko, bo niemało miodu w czasie działań do rodziny przepijał, i szybko do sieni zamkowej wbiegł.

Od komnaty żony dobiegło go kwilenie dziecka. Szarpnęło się królewskie serce od radości, wspomniał, o czym wierzba szumiała i o obietnicy żony, że mu dwunastu synów z gwiazdami u skroni da. Więc nie zwlekając do izby królowej wszedł.

Ujrzał żonę łkającą, tulącą do siebie świetlistą główkę dziecka, a obal niej dwie siostry, wyniosłe i blade.

— Hej !— krzyknął król od proga. — Pewno spełniło się, żono, co mi czarownym słowem obiecała, i dwunastu synów o włosach świetlistych, z gwiazdami u skroni mamy!

— Gdzie zaś, szwagrze królewski — rzecze siostra najstarsza i na przód postąpi. — Skłamała nasza siostra. Jednego tylko syna macie!

— Dwunastu ich miałam! Dwunastu! — łkała królowa. — Lecz m z izby zamkowej zginęli i jeden tylko został!

— Kłamiesz — rzekła siostra druga. Głos jej drgnął, lecz ciągnęła da lej. — Oszukałaś króla pięknymi słówkami!

Król był krewki, a i miód władał nim jeszcze. Wsparł rękę na mieczu, poczerwieniał i krzyknął:

— Precz mi z oczu, królowo kłamliwa!

Po czym z izby wypadł, w mieczu się płacząc, i na ławę runął tchnąc ciężko jak rozsierzdzony zwierz.

Słońce wznosiło się coraz wyżej nad zamek, złota jasność zalała ściany. Gniew stygł w królu. Wspomniał ranek wiejski, swe oświadczyzny i życzliwe światu oczy żony. Wspomniał jej dobroć i prostotę. Wstał ciężko z ławy i do jej komnaty zawrócił. Lecz komnata była pusta. Zelżona królowa wraz z małym synkiem z zamku precz poszła. Stał król w progu chwilę, po czym ku sieni zawrócił. Gniew kołnął go znów, jak rumaka ostroga.

Od sieni szedł świeży powiew. Drzwi były otwarte. Stała w nich najstarsza szwagierka królewska i patrzyła w króla jasnymi, srogimi oczami. Po czym odwróciła wzrok ku widnemu z zamkowej sieni ćwiczebnemu polu. Wzrok króla poszedł za jej wzrokiem.

Właśnie, oblani południowym blaskiem, wyjeżdżali konni na łęg zielony. Szły konie w zbrojach srebrzystych, jeźdźcy wznosili nad głowy włócznie i dziryty. Zabrzęczały blachy i buchnął ku dworskiej sieni pokrzyk rycerski:

*Heja! Heja! A z lewa! Niech gra zbroja! Miecz śpiewa!*

*Heja! Heja! A z prawa! To rycerska zabawa!*

A wraz z tym pokrzykiem ozwała się siostra najstarsza głosem:

*Upiekę chleb złoty — bochenek zaklęty, nim jednym obdzielę wszystkie regimenty.*

*Pożywią się godnie towarzysze wierni, polotna konnica, srebrzyści pancerni...*

Po czym odeszła.

W rozwarłej, zalanej słońcem sieni został król sam. Biły blachy, szczękały miecze, konie rżały.

— Hej — heja! — krzyknął król i ruszył ku wrotom zamkowym, ćwiczebnemu polu.

Przy wrotach zamkowych drugą szwagierkę napotkał. Przesłaniając od blasku oczy patrzyła na szeroki trakt.

— Słyszysz, królu — rzekła — idą twe piesze roty.

Wszłuchał się król: z dala, od obozowiska, niósł się zrazu cichy brzęczenie bąków i trzmieli, potem coraz donioślejszy głos skórzanych bębnow i dudniły miarowe kroki piechurów. Po czym ukazali się sami. Idąc bili nogami w ziemię, potężni, mocni, w barach szerocy. Tchnęli głęboko, a wraz z nimi zdawały się tchnąć bębny pod ciosem pałek.

— Uch... uch...

Wpatrzyła się w roty szwagierka królewska i zaszepiała:

*Kiedy utkam płótno, koszule poszyję, starczy ich na wszystkie wojska kompanije.*

*Wszystkim regimentom dam koszule lniane, wszystkie regimenty będą przyodziane.*

I wzrok dziewczyny biegł za pieszymi, a za jej wzrokiem biegł wzrok królewski.

— Piękne mam wojska — szepnął król. — Piękne.

I pomyślał, że gdy nie stało w zamku wdzięcznej, dobrej królowej, z którą myślami dzielić się przywykł, te oto roty, konne harce, będą mu w życiu jedyną radością.

Tymczasem królowa z syneczkiem na ręku odeszła od zamku daleko. Minęła obozowiska, groble, zalewy, łąki i pola. Szła otuliwszy dziecko chłopską chustą, w swoją chłopską odzież przyodziana. Gwiazda u ni chłopaczka migotała srebrnym blaskiem, włoski jarzyły się świetlicie. Nachylała matka ku niemu twarz i cichutko nuciała:

*Świeć się, srebrna gwiazdeczko, śpij, maluchny syneczku,*

*śpij, drobino kochana, czuwa matka wygnana.*

Śpiewając i płacząc doszła matka do wsi, która półkręgiem otaczał rozległe jezioro.

Usłyszała śpiew stara prządka, co w chacie kądziel prządła. Uniosła głowę. Słucha. Zamrugła modrymi jak niezabudki oczami. Uśmiech przebiegł po jej pomarszczonej twarzy. Wstała od kołowrotka na próg chaty wyszła. Patrzy — kto to śpiewa? Ujrzała matkę z dzieckiem owiniętym w chustę.

— Smutno śpiewasz, moja podróżna — rzecze prządka. — Ale wcale wdzięczna twoja piosenka. Znam się na tym, bom prządka-pieśniarka. A dokąd to idziesz z dzieckiem na ręku?

— Przed siebie. Pracy szukam, bym siebie i swoje maleństwo wyżywić mogła.

Spojrzała prządka bystro na matkę, na jej oczy jasne, na widne spod chusty świetliste włosy.

— Zostań u mnie — rzecze. — Dam ci strawę i dach nad głową.

— A dziecko? — szepnie matka.

— I dziecko wezmę z tobą. Rozwiń chustę, niech mu się przypatrzę.

Rozchyliła matka chustkę, załśniły włosy chłopaczka, zamigotał gwiazdka u skroni. Prządka pochyliła się nad niemowlęciem.

— No tak — rzecze. — Twoja dola jest jak opowieść stara. Piękna, choć nie zawsze bezpieczna. Ale niezwykajna. I tyś niezwykajna. Pewność, w wieczorne zorze patrząc, zamyślała się nieraz. Pewność pod wierzbami siadała słuchając, co wietrzyk w liściach gra. He? Co?

— Tak — szepnęła młoda.

— No, więc my niby znajomki. Chodź pod mój dach. Zajmiemy się małym.

Weszła żona królewska z synkiem pod dach prządki-pieśniarki. I już w tej chacie została.

Gdyby nie srogi żal za przepadłymi dziećmi, gdyby nie gorzkie myśli o krzywdzie królewskiej, źle by jej tu nie było.

Nie pracowała ponad siły, a dość, by czuć, że życie jej i praca na marne nie idą, plon bogacą, dostatek ludzki mnożą.

To w polu z prządką robiła, to przędła, to sieci dla rybaków wiązała. Synek rósł, sił nabierał i rozumu. Niezwykle to było dziecko. Nie minął rok, a już wyrósł na dorodnego młodzieniaszka. Jego jasne włosy lśniły jak zorze, u skroni migotała srebrna gwiazda.

— Czarów mu chyba jakichś zadałaś — mówiła stara prządka do matki. A ona patrzyła w niebieściuchne, życzliwe oczy starej i odpowiadała:

*Znam ja jedno czarowanie: to matczyne miłowanie...*

Minął rok, minął drugi. Wodą jezior, mokradłami od świata odcięta wieś przywykła już do nowych przybyszów, których prządka pod dach swój przytuliła. Pracą zajęci ludzie przestali się dziwować gwiazdzie migocącej u skroni młodzieńczyka i temu, że tak szybko z lat dziecięcych wyrósł.

On zaś każdemu do pomocy chętny, czynny, żywy, krzepki, to ze wsią do kośby chodził, to z rybakami na jezioro ruszał. Nieraz, w czasie nocnych połowów, wyjrzała któraś gospodyni oknem na jezioro i nagle zdało się jej, że na mroczne wody jasna gwiazda spadła. Lecz wpatrzywszy się w noc, dostrzegała kształt rybackiego czółna i smukłego rybaka, odpychającego je drągiem od dna. U skroni rybaka migotało srebrne światło. Wtedy mówiła:

— To nasz młodzieńczyk z gwiazdą u skroni na nocny połów wypłynął.

Już z niskich łąk nadwodnych sprzątnięto drugi pokos traw. Lato mi- jało, szła jesień.

Sady wioskowe uginały się od owoców, zapadały wczesne, mgliste wieczory.

Przędka i matka, skończywszy dzienną pracę, siadywały w progu cha- ty i patrząc na mknące powietrzem lekkie nitki pajęczyny pośpiewywały cichutko.

Matka pełną piersią oddychała rześwym powietrzem jesieni, zsuwała roboczą chustę z jasnych włosów.

Był zachód i oblewał złotym blaskiem wdzięczną postać matki. Wpatrzyła się w nią stara prządka i jednostajnym jak furkot kołowrotka głosem śpiewać zaczęła:

*Z tamtej strony jeziora stoi lipka zielona,  
a na tej lipce, na tej zielonej,  
siedzieli se ptaszki. Nie byli to ptaszki, ale kawalerowie.  
Przybyli z dala  
na rzecznych falach, po rwącej wodzie,  
w zamkowej łodzi,  
z tamtej strony jeziora.*

Cicho było. Matce zdawało się, że stukot własnego serca słyszy. Nawracająca nuta piosneczki ozwała się znów.

*Z tamtej strony jeziora stoi lipka zielona...*

Nagle zaszeleściły krzewy koło chaty. Z gąszczu wystąpił młody syn i w śpiewającą prządkę się wpatrzył.

*Nie byli ta ptaszki, ale kawalerowie.  
Przybyli z dalana rzecznych falach. gwiazdy mają u skroni.*

Zda się ustał wszelki powiew. W spokoju, w ciszy, brzmiało to jedno tylko: nawracająca śpiewka prządki. Matka i syn wstrzymali dech.

*Trzeba by do czółna wsiąść i jabłuszko z sobą wziąć.  
Toczyć jabłko rumiane do tych braci kochanych z tamtej strony jeziora.*

Umilkła stara prządka. Noc szła, wielkie milczenie ogarniało świat. W ciszy układali się do snu wszyscy troje: matka, syn i stara prządka.

Rankiem zbudził się syn pierwszy. Wstał, odział się i pobiegł w sad. Z ciężkiej, okrytej owocem gałęzi jabłoni zerwał jabłko krągłe i rumiane. I z jabłkiem ku przystani na jeziorze pobiegł. Odwiązał czółno, odepchnął je od brzegu, ujął wiosła w silne ręce. Łódź wysunęła się już z przybrzeżnego szuwaru i płynęła ku przeciwnym brzegom, zarosłym pięknym lipowym gajem.

Blask drzał na wodzie, w trzcinie trzepotały się rozbudzone kaczki dzikie. Kurka wodna wystawiła z gąszczu krągły łepok i błysnęła ciekawymi ślepkami. Rybitwa zatoczyła nad łodzią szeroki krąg i zawodziła niespokojnym pokrzykiem: — Ki-wii! Ki-wii!

Chłopiec wiosłował. Łódź posuwała się szybko. Przeciwnym brzegom słońce sunąć ku niemu. Już słyszał szelest rozłożystych lip, liście ich odbijały się w jeziorze, wiosła grały się w wodzie, zielonej jak drzewa.

Już łódź sięgła przybrzeżnej trzciny, wpłynęła w nią Wysokie, śmigłe liście, rude pały ziela przewyższały wiosłarza. Skrył się z łodzią w trza nie i czekał.

Widział z szuwaru rozrosłą lipę tuż u brzegu rosnącą. Ptaki okrążyły ją swym lotem,

poćwierkując siadały na jej potężnych konarach, iskając skrzydła, trzepocząc się w zieleni.

Nagle tupot biegnących nóg wdarł się w odgłosy liści, fal i ptaków. Z gaju wypadło jedenastu chłopców.

Jasny blask jarzył się na ich włosach, u skroni błyszcząły gwiazdy. Stanęli i odrzuciwszy w tył świetliste włosy, jak żrebce grzywy, zaśmiali się radośnie.

— Bracia! — krzyknął jeden z nich. — Oto gaj lipowy! Oto jezioro. Za jeziorem wieś rybacka, gdzie nam matki szukać trzeba!

I wszystkich jedenastu zbliżyło się do brzegu. Zmrużyli oczy i patrząc przez blaski na przeciwległy brzeg.

— Czy to tu, czy nie tu? — szeptali do siebie zafrasowani.

Młodziuchny, skryty w trzcinie wioślarz nie spuszczał z nich oczu. I gdy tak stali zamyśleni, wziął jabłko i cisnął je przed siebie. Przeleciało nad głowami chłopców, uderzyło o pień lipy, odbiło się i jęło toczyć się po nadbrzeżnej murawie trzeszcząc swą jabłczaną przyspiewkę:

*Czerwone jabłuszko po ziemi się toczy,  
kto jabłuszko ujrzy — niechaj za nim skoczy.*

*Niechaj za nim skoczy, niechaj je dogoni jedenastu chłopców z gwiazdami u skroni  
Gońcie tedy, gońcie, urodni młodzieńcy, dojrzałe jabłuszko z prześlicznym rumieńcem.*

Toczy się jabłuszko, jak na osi obraca. Puścili się za nim chłopcy. Jabłko: szust! — w trzciny. Chłopcy za nim! Jabłko: smyr! — do łodzi! Chłopcy za nim! Skoczył jeden, drugi, trzeci... jedenasty. Jedenastu chłopców w łodzi stanęło, a dwunasty, co u wiosel siedział, wiosłami o fale uderzy. Zakołuje łódź, furknie przez trzciny i puści się po falach jeziora szybko, że i rybitwa o śmigłych skrzydłach jej nie dogoni!

A chłopcy na wioślarza, co ich wiezie, spojrzeli. Oczy ma, jak oni — jasne, włosy, jak oni — świetliste. Jako im — drży mu u skroni gwiazda. Nachylili się ku niemu.

— Ktoś ty? — pytają.

A on spojrzął im prosto w oczy jasnymi oczami.

Wtedy szepnęli:

— Bracie...

Łódź mknęła ku brzegom. A gdy do nich dobiła, wyskoczyło z niej jabłuszko czerwone i jęło się toczyć ku wsi ze swoją piosenką:

*Czerwone jabłuszko do matki się toczy. Otrzyj łzy, o matko! Otrzyj modre oczy!  
Toczy się jabłuszko z prześlicznym rumieńcem, biegnąc za jabłuszkiem synowie-młodzieńcy.*

Brzmiała obrotna piosneczka jabłuszka, biegli za nim chłopcy drogą ku wsi. Włosy ich połyskały, skronie lśniły od migocących nad nimi gwiazd srebrnych.

Na ich widok stawali jak wryci zdumieni rybacy patrząc na świetlistych chłopców z zachwytem. Nawet rząd złotych słoneczników przy chałupie prządki obrócił ku nim swe okoliste kwiaty, niby złote oblicza. Małe dzieciaki wyskoczyły zza opłotków i bijąc w ręce pokrzykiwały:

— Hej, biegna za rumianym jabłkiem chłopaki świetliste! Dwunastu ich! Dwunastu!

Posłyszała matka ten krzyk, skoczyła na próg chaty.

W tejże chwili obyrtne jabłuszko przeskoczyło próg, potoczyło się u nóg matki i raz — dwa! — do izby wpadło. A za nim wbiegli chłopcy jaśni, o rozgwieżdżonych skroniach.

— Synowie moi! — krzyknęła matka i wyciągnęła ku nim ręce.

Przypadli do jej nóg, a ona stała wśród nich śmiejąc się i płacząc z radości, głów ich dotykając, muskając ich skronie i włosy, szczęściu swemu nie wierząca.

Stara prządka patrzyła na to powitanie i łzy zasnuły jej modre jak niezabudki oczy. Cichutko wymknęła się za próg, w kąt izby zaszyła i jęła obracać swój skrzypiący kołowrotek, szepcąc:

*...bo największe czarowanie to matczyne miłowanie... to matczyne miłowanie...*

I choć tak stara była, i dzieciństwo daleko za nią zostało, szepcąc słowa snadź dzieciństwo własne miała przed oczami. Bowiem patrz przed siebie, jakby w nieprzeniknioną dalekość, rzekła cicho:

— Matko! — I otarła łzy.

A za ścianą gwar rósł, niósł się śmiech młodzieńczy, brzmiał radosny głos matczyny. Po chwili do izby, gdzie prządka przędła, weszła matka a za nią synów dwunastu. Zerwała się stara, by ich jak gości powitać.

Wkrótce siedzieli wszyscy za stołem, chleb i miód jedli, mlekiem popijali. Matka pytała:

— Co się z wami działo, synowie najmilsi?

Więc opowiadali, jak ich łódź, niby kolebka, po rwącej rzece niosła. Jak w szuwar się zaplątawszy, do dalekich brzegów przybiła. Piękne dzieci, w łodzi śpiące, naszła bogata gospodyni. Nie miała dzieci własnych, przygarnęła więc tych chłopców jedenastu, by z nich, gdy dorosną, pomoc gospodarską mieć. I patrzcież: w dwa roku doczekała się z nich nie lada jakich parobków. Ale mniej ją cieszyła ich mądrość, dobroć i uroda niż siła, z którą unosili snopy przy żniwach, konie kuli, wytaczali wozy, rozległe jej dziedziny uprawiali. Nie podobało się to chłopcom, że kobieta ich tylko za siłę roboczą ma. Odrobiwszy więc robotę postanowili pójść w świat precz, ojca i matki szukać.

Opodal rzeki, co ich kiedyś do brzegu doniosła, stała lipa. Pod nią zasiedli gwarząc, jakby to w świat wyruszyć i swoich odnaleźć. Wtedy lipa zaszumiała:

*Z tamtej strony jeziora rośnie lipa zielona.*

*A lipa ta siostrzana,*

*jednym wiatrem rozsiana, z kwiatu jednego ze mną.*

*Idźcie w zarzeczne strony szukać lipy zielonej.*

*Nie będzie to daremne.*

*Matkę, brata znajdziecie, gdy pod lipę dojdziecie. Idźcie! Spieszcie! Już pora!*

*Najdziecie matkę drogą, hen, za szeroką wodą*

*z tamtej strony jeziora.*

I poszli synowie. Szli przez wsie, gaje, łąki, groble i rozlewy. I roz-pytywali się o jezioro, na którego jednym brzegu szeroka lipa rośnie, na drugim — wieś rybacka leży. Doszli do nadbrzeżnego gaju, do lipy zielonej, skąd ich obyrtnie jabłuszko do matki i brata przywiodło.

Słuchali matka i brat tej opowieści. Słuchała prządka stara. Głową kiwała mrucząc:

— Tak... tak... Oto doła jak z pieśni starej...

Gdy zaś skończyli mówić, rzekła im:

— Gościny wam nie skąpię. Aleście królewskie syny i ojciec was uznać musi. Niechaj któryś z was na zamek królewski rusza i co się tam dzieje, wybada.

— Ja pójdę — rzecze chłopiec, który się w chacie prządki chował. — Idź tedy. Zaraz jutro, skoro świt.

Nazajutrz rano wysunął się młodzieńczyk z chaty. Miał węzełek podróży na ramieniu. Na świetlistą skroń czapkę naciągnął. Już się do i furty zbliżał, gdy dłoń jakaś lekko tknęła jego ramienia. Odwrócił się. Ujrzał matkę.

— Synu mój — szepnęła cicho. — Gdy na dwór ojca przybędziesz nie tylko o króla się wypytaj, ale i o siostry moje. Ciężką mi one krzywdę wyrządziły, ale przecie i w nich serca biją. A serce żywe zawsze człowieka przemienić może. Niejeden jam wieczór z nimi w chacie ojców przegwarzyła, niejednego dobrego od nich doznałam. Grzech popełniły, rozgorzałe pychą i zazdrością. Lecz gorące serca przepalają na popiół gniew, pychę i zawiść. Przypatrz się ciotkom i wieść mi o nich przynieś.

Chłopiec spojrział w jasne oczy matki i powiedział:

— Bądź spokojna, matko. Uczynię, jak każesz.

I odszedł w blasku wczesnego poranka. Szedł tą samą drogą, którą przemierzyła matka, jego w ramionach niosąc. Szedł długo; minął groble, rozlewy, łąki, wsie, pola. Przybył na brzeg rzeki, opodal której zamek ojcowski. Był już późny wieczór. Rzeka płynęła w jesiennej mgle. Rumiany księżyc dźwigał się nad sitowia. Chłopiec przystanął i jał rozglądać się dokoła. Nagle drgnął: od nadwodnych rokit dobiegł go cichy szept. W wieczornej mgle ujrzał dwie rosłe dziewczyny o oczach, u orlic, jasnych. Patrzyły z biegiem wody i szeptały:

*Hej, rączka, dzika woda, co zabrała — nie odda.*

*Tak nam śpiewałaś, rzeko, odniosłaś łódź daleko.*



*Cóżśmy uczyniły? Szczęście, radość zabiły.  
Teraz nam smutkiem wszystko, straszy puste zamczysko,  
pusty każdy zakątek, bo w nim nie ma dzieciątek.  
O siostrzankowie mali, w łodzi na rzecznej fali  
płynący w zorzy złotej, wróćcie, wróćcie z powrotem!  
Nie zaznać nam spokoju wśród zamkowych pokojów  
Z pamięci nie wymażesz onej łodzi w szuwarze,  
świtu na rzece rwącej i łodzi w mgłach niknącej.  
Wodo, zlituj się, powiedz, kędy są siostrzankowie...*

Słuchał chłopiec tej pełnej żalości pieśni. Widział oblicza ciotek, bladłe, udreżone. Lecz nie ukazał im się, cicho ku zamkowi zawrócił. Przyszedłszy na zamkowy podwórzec zobaczył wielki zamęt koło dworskiej kuchni: zwijały się kuchciki, czyściły wielkie kotły, sagany, patelnie. Stał im młodzieniaszek do pomocy i wraz z nimi kuchenne statki szorując dopytał się, że się zjazd sąsiedzki na królewskim zamku szykuje. Wprawdzie król się teraz wszystkim zdawał smutny i do uczyt nieskory prawily kuchciki, ale że już nieraz u tych królów-sąsiadów wieszerał, uchodziło mu więc ucztą się wywdzięczyć.

Poczyściwszy z kuchcikami kotły i sagany, pożegnał ich młody i do wsi nad jezioro zawrócił.

Przyszedłszy do chaty prądki, opowiedział matce, braciom i starej chaty gospodyni o spodziewanej uczcie na zamku królewskim. Za radą prądki postanowili synowie matkę ze sobą wziąć, blask gwiazd u skroni pod czapkami ukryć i na ucztę królewską ruszyć.

Pokładli się chłopcy spać przed długą drogą, tylko jeden, ten co w chacie prądki wyrósł, dobrą jeszcze chwilę z matką w ciemnej izbie szeptał. Stara prądka słyszała tylko rwane słowa: rzeka... siostry... płakały... żal... smutek...

Kiwała stara głową i szeptała do siebie:

— Tak... tak... Będzie, jak to w starych pieśniach bywa... Tak... tak...

Rankiem matka z synami w drogę ruszyła. Na trzeci dzień o wieczornej porze stanęli przed zamkiem ojcowskim. Już rycerstwo w paradnych, srebrnych zbrojach ustawiało się półkregiem przy zamkowej bramie. Brzmiały na wiwat blachy: — Heja! Heja! — Dudniły bębny: — Uch...Uch...

Na koniach, w karocach, jadą króle na ucztę wieczorną. Z szeroki komina dym bije w górę, pięknie jałowcem pachnący. Przez rozwarte kuchenne drzwi widać kuchenne palenisko, a w nim obracają się pieczenie sarnie, jelenie, dzicze. Z kuchennego pieca słychać pohukiwanie ognia, gary parują, dzwonią unoszące się pokrywy, a kwaśny kucharz, do garnków, kotłów zaglądając, kwaśną śpiewkę sobie pomrukuje:

*Musi się człek napocić zdrowo, aby król obiad spożyć raczył!  
Potrawa nie śmie być jałową, trzeba ją tak czy siak przysmaczyć  
To musisz dusić, to przysmażyć, to znów ma wrzeć — po gara wręby.  
A człek się w dymie dusi, smaży, by król rzecz raczył wziąć do gęby.  
Popiją króle i pojedzą, a mnie apetyt przepadł wszystkim!  
Tym, którzy się przy garach biedzą, starczy kapusty kwaśny listek!  
A gdy potrawa nie w smak panu, gdy człek w pośpiechu coś przesoli —  
da król po głowie chwacko. Ano, to przecież i od króla — boli.  
Zmieńcie się, losy! Kiedyś, kiedyś, dworskie kominy się wygasi!  
Nastanie koniec mojej biedy — nie będę królom nic pitrasić!*

Mruczał kucharz swoją śpiewkę, a tymczasem pacholy półmichy porywają, wykładają mięsa i potrawy i do izby biesiadnej niosą. Tu biesiadnicy stół obsiedli, król i jego szwagierki gości do jadła zapraszają, król nalał dzban miodu — do gości przepija. Gwar przy stole rośnie, lutniści po strunach palcami przebierając, huczne pieśni biesiadującym śpiewają. Już parę godzin uczt trwała i podochoceni goście coraz to innych pieśni żądali, gdy ochmistrz królewski do króla się zbliżywszy oznajmił, że dwunastu nieznanych pieśniarzy królowi i jego gościom nowe, nieznane pieśni

zaśpiewać pragnie. Król dał ręką znak, by weszli. Weszli tedy. Rośli, o włosach świetlistych. Koło skroni każdego srebrna gwiazda drżała. Zerwał się król. Krzyknął. I jakby ich widokiem oślepiiony, z powrotem na ławę opadł. Pobladły szwagierki królewskie. A młodzi otoczyli biesiadny stół kręgiem i przy lutniach, które wnet nutę ich śpiewu pochwyciły, zaczęli pieśń swoją.

*Był sobie król, był krewki król, co z łez matczynych szczydził.*

*Nie baczył na matczyny ból i dzieci swoje skrzywdził.*

*Królewskie dzieci chował świat, kochały serca proste.*

*Był sobie król, był krewki król i dwie zazdrosne siostry.*

Nie słuchał król dłużej. Porwał się od stoła i ku synom drżący się zbliżył. A oni rozstąpili się przed nim ukazując stojącą za nimi matkę. Runął król do jej nóg i wielkim płaczem się zaniósł. Ona zaś położyła mu głowie przebaczącą rękę.

Umilkli goście i kapele. W cichej biesiadnej izbie tylko łkanie królewskie słychać było. Po chwili dołączył się doń płacz wielki sióstr obu.

Pojęli goście, że tej chwili, gdy się zwaśniła rodzina godzi, obecnością obcych mącić nie należy, i po cichuśku opuścili pałac królewski.

Do późna w noc jarzyły się zamkowe okna. Całą noc przegwarzyła rodzina, to ze zgrozą, to z płaczem dzieje ostatnich lat opowiadając. Kajały się ze łzami siostry, kajał się król i w piersi walił, aże grzmiało.

Kucharz wygasił wielkie palenisko i ze słowami: — Chwała Bo goście pojechali! — spać poszedł.

Lecz nazajutrz zdumiał się wielce, bo mu do pomocy dwunastu synów królewskich stanęło. Chowani w pracy i trudzie, do każdej roboty się kwapili, a znali chyba każdą.

Radość i szczęście były w tym zamku. Synów królewskich, wdzięczną królowę wszyscy darzyli miłością. Dziwna rzecz — najwięcej chyba ciotki, co ich na przepadłe wysłały. Radowały się szczęściem siostry najmłodszej, która także o ich szczęściu myślała.

— Wiecie, królu miły — rzekła raz do swego małżonka — chciałabym te moje siostry-orlice za mąż wydać.

— A za kogo? — pyta król. — Nie wiem, kto tu j est z godnych kawalerów, co by im się udał. Wiecie, królowo, harde są, władać lubią— a to niejednego kawalera odstrasza.

Lecz królowa, choć skromna i cicha, główkę miała nie od parady. Mówi więc:

— Gdy żona władać lubi, mąż musi być potulny. Inaczej w małżeństwie zgody nie będzie.

— Ano dobrze! — odpowiedział król. — Pomyślę o tym.

Jakoż nie minął rok, a obie siostry poślubiły zacnych rycerzy. Jeden był dowódcą piechotnej rot, drugi — oddziału konnych. Obaj łagodni jak baranki.

Chleba a koszul w wojsku królewskim było zawsze pod dostatkiem, a o zręczności rycerskiej konnicy, o sile królewskich piechurów mówiono na całym świecie.

Zjechał więc ze świata jeden kronikarz sławny, by o wojsku królewskim, o pięknych i rozumnych synach króla dzieło napisać. Ujrzawszy pięknych młodzianów z gwiazdami u skroni, zasiadł do pisania w izbie zamkowej, w której go król gościł, i pisał do rana.

O świecie rozwarł drzwi zamkowej sieni i spojrzął przed siebie na widną stąd zieloną łąkę. Wyjeżdżali na nią właśnie srebrni rycerze na upancerzonych rumakach i wnet jęli się potykać, zręcznie jakby w tańcu. Wraz uderzono w blachy bojowe i buchnął z pola pośpiew:

*Heja! Heja! A z lewa!*

*Niech gra zbroja! Miecz śpiewa!*

Piękni byli rycerze. Lecz najzwinniejszy, najpiękniejszy — rycerz smukły z pękiem piór pawich, wiejących u szyszaka. Ten, obaliwszy paru przeciwników, lekko z konia zeskoczył i jał iść ku zamkowi prowadząc rumaka na srebrnej uździe. Zbliżył się ku bramie i snadź skwarem i grą rycerską znużony, zdjął z głowy szyszak. Rozsypały się długie, ciemne włosy.

Drgnął kronikarz: poznał najstarszą królowej siostrę, z którą wcześniej na zamku wieczerzał. Lecz nie koniec był jego zdumieniu. Bo oto właśnie mijały bramy królewskie rot

piechotne, którym grały wielkie bębny: Uch... uch... A na czele — kroczyła siostra średnia, w skórzanym wojskowym ka nie, zbrojnym pasem opasana, niosąc przed sobą krągłą tarczę, w której odbijało się słońce.

Porwał się kronikarz i do izby zawrócił pędem, by opisać to, na patrzyły jego oczy. Pisał dzień, dwa, trzy. Pisał tydzień, dwa tygodnie. Wreszcie, zapisawszy setki kart, rzekł do siebie:

— Oto skończyłem dzieło o królewskim rodzie. Trzeba je rodzinie królewskiej przeczytać i jej sąd o nim usłyszeć.

Zasiedli więc w zamkowej izbie król, królewska rodzina i kronikarz, który z wielkim zapalem jął odczytywać dzieło swoje. Długie było, wiele rozdziałów podzielone. Był rozdział o królu, o jego synach, o żonie i jej siostrach. Zasłuchali się wszyscy. Cicho było, jeno świerszcz w ścianie piłował swą piosenkę.

Wreszcie skończył kronikarz czytanie.

— Piękne to dzieło — rzekł król.

— Jak je nazwać? — zapytał kronikarz. — Bom tego jeszcze uczynił.

— Opowieść o trzech siostrach — rzekły siostry królowej. — O wierzbie i pannie jasnowłosej — rzekł król.

— O matce! — krzyknęli królewicze.

Królowa milczała chwilę. Po czym uniosła jasną twarz i powiódłszy spojrzeniem po świetlistych głowach synów — rzekła dźwięcznym głosem:

— Nazwijcie wasze dzieło, mistrzu: „Synowie z gwiazdą u skroni”. A kronikarz ujął pióro w rękę i napisał te słowa na początku opowieści.

To jest ta opowieść właśnie.